

Wiech
Opowiadania przedwojenne

Tom III
Mąż za tysiąc złotych

Wiech

Stefan Wiechecki

Mąż za tysiąc złotych

czyli
opowiadania żydowskie

Zebrał i opracował
Robert Stiller

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia
objaśniono w słowniczku na stronach 353–364

Na stronach 287–352 znajdują się
eseje Roberta Stiller
dotyczące autora i jego dzieła

Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i niepoważne osiągnięcia.

Antoni Słonimski

Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.

Michał Choromański

Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.

Maria Jasnorzewska

Różowa pończoszka

Pan Tymoteusz Zając, właściciel sklepu spożywczego, jest niesłychanie zazdrosny o swą małżonkę, panią Kazię. No, bo i jest o co! Samej żywej wagi sto dwadzieścia pięć kilo, a coś dopiero mówić o takich walorach jak nieprzeciętna wymowa i talent do handlu.

Cóż tedy dziwnego, że pan Tymoteusz, mając taki skarb, zadrżał, usłyszawszy od dozorczy domu, pana Antoniego Dyni, taką uwagę:

– To nie mój interes, ale zmuszony jeźdem zaznaczyć, że jak pan Zając siedzi w sklepie, łązi tu do pana Zająca żony jakiś łatek. Zdaje się, że to nawet będzie Zraelita czyli pudel, bo jakiś cholera na pysku niewyraźny. Moja baba wyniuchała bez dziurkie od klucza, jako że sklepiczarka, niby żona pańska, przy tem owem starozakonnem się ozbiera! Marna pańska godzina, panie Zając, bo te niekrzczone to największe katy na kobietę.

Kudy panu do konkorencji!

Pan Tymoteusz jęknął głucho i chciał biec zaraz mordować, podpalać, ale stateczny pan Dynia wstrzymał go słowami:

– Zara, zara, najspierw trza ich przykaraulić razem i z beduinem się oprawić, a potem dopiero szanownej małżonce zdrowo żeberka przemacać.

Umówiono się, że inwigilacja pracować będzie ze zdwojoną czujnością i gdy amant zjawi się w mieszkaniu pana Zająca, dozorca natychmiast go o tym zawiadomi.

Okazja zdarzyła się po kilku dniach. Na alarm pan Zając zamknął sklep i jak burza wtargnął do mieszkania. Już w przedpokoju zauważył obcy parasol i zabłocone kalosze.

W sypialni siedział szczupły brunet o palącym spojrzeniu. Pani Kazia pokazywała mu nóżkę w różowej pończosze, on zaś patrzył i cmokał z zachwytem.

Jak ranny odyniec runął na rywala pan Tymoteusz i począł go tłuc przyniesionym ze sklepu suchym baleronom.

– Uj, co coś jest? Zabił mnie na śmierć! Policja! Panie wariat, słuchaj pan, ja jestem damski dostawca. Pończochy, trykotaży, podwiązki tudzież reformy. Zapamiętaj się pan chociaż na chwilę!

Po długich szamotaniach udało się wreszcie pani Kazi przekonać męża, że z brunetem łączą ją tylko stosunki handlowe. Piękność, nie chcąc martwić pana Tymoteusza wydatkami, załatwiała swoje sprawunki w tajemnicy.

Zatamowawszy krew, okręcony ręcznikiem kupiec, pan Beniek Kontrabas, wybiegł z fatalnego mieszkania, nie wiedząc, że czeka go jeszcze jedno przejście.

Za drzwiami bowiem czyhał ze wzniesioną w górę miotłą wierny sojusznik zdradzonego męża, pan Dynia.

W chwilę potem przez podwórze galopował pan Kontrabas, przynaglany uderzeniami miotły dzielnego dozorczy. Pościg trwał aż do bramy.

Epilog rozegrał się oczywiście w sądzie grodzkim, gdzie zazdrosny mąż oraz ten, który nie opuścił go w potrzebie, dostali po tygodniu aresztu, na szczęście z zawieszeniem.

Co tygrys to nie świnia

Protest? Przecież to obecnie rzecz tak zwykła jak spisanie ruchomości przez komornika. A jednak są jeszcze ludzie, którzy się protestem przejmują i robią bliźnim piekło z tak błahego powodu. Gdzie indziej leżą weksle na parę tysięcy i jest dobrze, a tu o marny akcepcik taka wielka awantura. Widocznie są weksle szczęśliwe i pechowe.

Ten należał do tych ostatnich, bo proszę sobie wyobrazić!

Pan Salomon Tygrys otrzymał kartkę od rejenta, że należy do godziny drugiej po południu wpłacić należność za wksel, gdyż w razie przeciwnym... itd. itd.

Pan Salomon odczytał dwa razy treść zawiadomienia, po czym mruknął do siebie:

– Ani do drugiej, ani do trzeciej. Za dwa tygodnie tyż nie, z powodu się nie targuje.

Po czym zwinął kartkę w trąbkę, uczynił z niej coś w rodzaju wykałaczki i dłubiąc w lewym uchu, oddał się rozmyślaniom na tematy pozagrobowe.

Wyrwał go z tego nastroju ostry dzwonek telefonu.

– Panie Tygrys, tu ja mówię, pan Webelman, poznajesz pan mi?

– Nie, nie poznaję. A jak poznaję, to co będę z tego miał?

– Pan nie wykupaleś w terminie weksla z żyrem Lipszycy.

– Niemożliwość. A nawet jeżeli tak jest, no to co?

– To że mam nadzieję, iż mu pan wykupisz od rejenta.

– Nie wiem. Może tak, może nie, ale przypuszczam że wątpię, żeby wykupiłem.

– Lipszyc pana robi za to śmierć. Ja już dzwonię do niego i żądam moje pieniądze. Nie płaci wystawca, musi płacić żyrant.

– Adje się z panem. Dzwon pan do łobuza, niech nie żyruje w tych czasach niepewne weksle.

W dziesięć minut później telefon odzywa się znowu.

– Pan Tygrys?

– Podobno.

– Lipszyc policzkuje się z panem z powodu weksel dwieście złotych.

– Nie szkodzi. Co jeszcze chciałeś pan powiedzieć? Mam czas, do sklepu nikt nie wchodzi.

– Z czym pan motywuje tego protestu?

– Słyszałeś pan może o niejakiemu kryzysa?

– Ale towar ja dałem nie kryzysa, tylko Tygrysa.

– To są teraz współniki, niech Bóg zabroni!

– Wstydu pan robisz wszystkim tygrysom. Złóż pan podanie w celu zmienić nazwisko na świnia.

– Do wydzenia się z panem w sądzie. Pan u mnie za tę swinię całe życie z kryminała nie wyjdiesz. Szkoda mnie pańskich dzieci, ale dobrze im tak, po co bandytę za tatunია mają.

Powiedzmy, że w pogrożkach pana Tygrysa była pewna przesada. Sędzia grodzki nie wydał wyroku bezterminowego

więzienia, zadowolił się 50 złotymi grzywny. Tyleż zapłacił człowiek o drapieżnym nazwisku za bandytę.

Flirt z jąkałą

- Imię?
- Cecylia czyli Cipa.
- Nazwisko?
- Blumszpic.
- Lat?
- Mamunia mówi dziewiętnaście, tatunio dwadzieścia sześć.
- A cóż mówi dowód osobisty?
- On jest tego samego zdania co tatunio.
- Stan?
- Uś, jak pan sędzia może coś podobnego się zapytać?

Wszystko w porządku!

- Więc panna czy mężatka?

– Nie wiem, co powiedzieć. Stara się o mnie jeden, ale nie wiadomo, co z tego będzie. Widzi pan sędzia, on nie zarabia, a tatunio bardzo tego nie lubi, bo jak ktoś nie zarabia, to on nie ma pieniędzy. A co dzisiaj można zrobić bez pieniędzy?

– I prawdopodobnie dlatego, żeby ich nie wydawać, jeździ pani tramwajem bez biletu?

– Nic podobnego. Ja chciałam wykupić. Bo czy ja bym się łąsiła na dwadzieścia pięć groszy? Za inteligentna osoba na to jestem. Pitigrilli znam na wskroś, poza tym mam piękne futro z brajtszwanców, to czy mnie by wypadało?

– A jednak konduktor twierdzi co innego. Panie Pietrusiński, jakże to było?

Pan Franciszek Pietrusiński, konduktor tramwajów miejskich, zeznaje:

– Zwyczajnie, proszę wysokiego sądu. Włazła ta pasażerka do wagonu i dawaj się kręcić jak mysz w rosole. To tam, to siam. Wszędzie jej pełno. Ale tak karkulowała, żeby nie płacić. Jak ja na przodzie, to ona w tyle i na odwrot.

Potem zaczęła gazetę czytać, żeby się zasłonić, a w końcu niby też to rozmawia z jakimś starozakonnym facetem... i do wyjścia.

Ja niby nie patrzę, ale wszystko widzę i myślę sobie: „Nie siostró, ten kurs ci się nie uda.” Zatrzymałem wóz, a pan władza zrobił resztę.

– Ależ panie sędzio, to było zupełnie inaczej!

Istotnie, znajomy mój Salek Rabinowicz tak mnie zagadał, że o wszystkim zapomniałam.

– Trzeba było przerwać na chwilę rozmowę i zapłacić za bilet.

– Pan sędzia nie zna Salka, on by do tego nie dopuścił. Jak zacznie mówić, świata się za nim nie widzi.

– Taki czarujący? – pyta rozbawiony sędzia.

– Nie, ale tak pluje. A przy tem się jąka, niech pan Bóg zabroni. Przez pięć przystanków zdążył mnie tylko powiedzieć: „Ukłony od Zylbersztajnow.” Ale tak mnie tem zajął, że nie miałam czasu zapłacić.

Mimo wielkiego prawdopodobieństwa tych okoliczności surowy sędzia skazał pannę Cecylię vel Cipę Blumszpic na 25 złotych grzywny, pouczając, że najpierw trzeba zapłacić za bilet, a potem dopiero flirtować z jąką.

Tak to czasem niewinny flircik może kosztować grube pieniądze.

Panna Cecylia po wysłuchaniu wyroku zapowiedziała apelację, zaznaczając, że może zapłacić za kurs z Rabinowiczem cztery razy tyle, co kosztuje bilet normalny, ale na sto razy więcej nigdy się nie zgodzi.

Zawodowy świadek

Do sali sądu grodzkiego wchodzi sympatyczny pan o ciemnym zaroście. Korzystając z przerwy w rozprawie zamienia miłe uśmiechy ze stałymi bywalcami, wreszcie wita się kordialnie z woźnym.

– Dzień dobry się z panem, panie Wu. Co słyhać? Jak zdrowieczko pana sędziego?

– Nie można narzekać, owszem, zdrow jest.

– To się bardzo cieszę. A pan sekretarz jak sobie miewa?

– Owszem.

– Coś dawno już tu nie byłem.

– A kto pan właściwie jest, bo nie mogę sobie przypomnieć?

– Pan mi nie zna? Ja jestem świadek o pobicie pana Migdalskiego przez pana Bielasa. Pan nie pamięta? się dziwię. Już dwa lata tu przychodzę i czekam, może dzisiaj się doczekam, skąd można wiedzieć?

Świadek przysiada się do dwóch panów i prowadzi z nimi miłą pogawędkę.

Tymczasem wchodzi sąd. Idą jakieś sprawy o kradzieże, a wreszcie:

– Oskarżony Hipolit Bielas, świadkowie Migdalski, Majchrzak i Rozenberg! – woła sędzia.

– Panie Bielasek, chodź pan, sędzia nam prosi – mówi sympatyczny pan do sąsiada i podchodzi wraz z nim do sędziowskiego stołu.

Świadkowie składają uroczystą przysięgę, po czym padają sakramentalne pytania:

– Nazwisko?

– Już mówiłem ładne parę razy... pan sekretarz zapisał też.

– Cóż to znaczy? Proszę odpowiadać na pytania.

– Wszystko od początku? Nie mam pretensję, proszę: Rozenberg.

– Imię?

– Salomon.

– Zajęcie?

– Świadek.

– Pytam, czym się przesłuchiwany zajmuje?

– Tyż mówię, jezdem za świadka.

– Nie chodzi o daną sprawę, tylko zawód pański!

– Panie sędzio kochany, ja pana co powiem: jak ja dwa lata nic nie robię, tylko chodzę tu za świadka, to nie jest moje zajęcie? A co to jest, co?

Raz zachorował pan Bielasek, to się sprawę odkładało. Drugi raz zapomniał przyjść pan Migdalski, to też poszliśmy do domu.

Jak wzięli pana władzego do szkoły, żeby mu wyuczyć na pana przodownika, to się zaczęło prawdziwe siekanie nieszczęście.

W ślepe ciotkie poszliśmy się bawić. Jak się jeden pokazał, to się drugi schował. A ja już dwa lata chodzę.

– Dziś sprawa będzie rozpatrzona.

– Daj Boże.

– Jakże to było? Co pan widział? Kto kogo uderzył w tramwaju numer 17 dnia 4 lipca 1929 roku? Bielas Migdalskiego czy odwrotnie?

– Panie sędzio, chwileczkie, ja nie mogię mówić.

– Dlaczego?

– Się mnie chce śmiać.

– Z czego?

– Z kawała. Ja nic nie widziałem. Ja jestem nie ten Rozenberg.

– Jak to? Przecież panu Salomon na imię.

– Co znaczy? W Warszawie są może sto, może dwieście takie Rozenbergi. Dlaczego mi wybrali, nie wiem, może z powodu niedaleko mieszkam.

– Jak to! I nie zna pan ani oskarżonego, ani oskarżyciela?

– Teraz znam, za kolegów jesteśmy, razem loterię trzymamy, ale tu u pana sędziego się poznawaliśmy.

Wobec ustalenia pomyłki sąd uwolnił pana Rozenberga od świadczenia, ale skazał pana Bielasa na 20 złotych grzywny za czynne znieważenie obecnego serdecznego przyjaciela.

Pisz pan testament!

Żadna praca nie hańbi, powiada stare a trafne przysłowie polskie. Tego samego zdania jest widocznie pewien młody, dotychczas nieuchwytny dżentelmen, który, wedle doniesień naszego korespondenta wileńskiego, grasuje na terenie tego pięknego grodu w nader oryginalnym charakterze.

Oto na przykład do siedzącego w restauracji hotelu „George” znanego fabrykanta, pana Jehudy T., który z apetytem sycił się czystą wyborową, podszedł jakiś młodzieniec wykwintnie odziany i z ukłonem zapytał:

– Pozwoli pan?

– Co znaczy pozwoli? – zdziwił się fabrykant.

– Usiąść.

– A właściwie z powodu?

– Przepowiednia.

– Co to jest przepowiednia?

– Widzi pan – zaczął młody, luksusowy facet – ja czytam przyszłość. Tylko spojrzę i wiem, co człowieka czeka. Znałeś pan kupca G.? Przepowiedziałem mu śmierć, toczka w toczkę... A tego grubego F.? Umarł właśnie wtedy, kiedy powiedziałem, i cieszył się, że mu naprzód to zrobiłem, bo mógł załatwić wszystkie interesy.

– To pan by i mnie powiedziałeś? – zainteresował się fabrykant.

– Można, będzie kosztować sto złotych.

– Co? Dwadzieścia złotych.

– Z byka pan spadłeś, panie Te?

– Niech tam, trzydzieści, więcej ani gronia.

Targ w targ, stanęło na pięćdziesięciu złotych. Przepowiadacz spojrział głęboko w oczy fabrykanta i lodowatym głosem powiedział:

– Panie Te, zakaraulaj pan testament. Jeszcze najwyżej trzy lata i śmoczkes.

– Panie, to granda!

– Co pan by chciał za pięćdziesiąt złotych, sto lat żyć?

Pan T. nie panował już nad sobą, tylko wyrznął butelką w stronę wróżbity, który na szczęście uchylił głowy i nie czekając na dalszy ciąg uciekł.

Pan T. odwiedził już wszystkich lekarzy.

Kto wie, a nuż istotnie trzy lata?

Szczęśliwy los

W gabinecie słynnego profesora nauk tajemnych i frenologa nazwiskiem Ben Alima panował tajemniczy półmrok. Mistrz trzymał w ręku szklaną kulę i przejmującym głosem określał teraźniejszość i przepowiadał przyszłość siedzącemu naprzeciwko klientowi.

– Psycho-pato-analiza z pańskiej ręki przepowiada nam, że zajmuje się pan z handlem, pański najlepszy dzień jest piątek. Co się dotyka apropos miłość, owszem potrafisz pan czasem. Interesownie forsy pan nie zarobisz. Spadek pan nie dostaniesz też. Hindusiański fakirzec Ben Alima pana to mówi.

– Szpitalewicz – odezwał się po chwili klient – kogo idziecie bujać za indiańskiego Alima Szmalima? Przecież wasz tatunio był mój wspólnik i okradł mnie, niech pan Bóg zabroni, ja znam całą waszej rodziny i wam Beniuchna też.

Jak już jesteście wróżka, to musicie mnie mówić, że ja się zajmuję handlem? Z czym się mam zajmować? Za gienierała pójde być? Za Wieniawę mnie wezmą, tak? Najlepszy dzień piątek z powodu ryba faszzerowana i kugel? To każde dziecko wi. Wy mnie tego nie mówcie, wy mnie nie mówcie o miłość i o analizę! Jak ja potrzebuję analizę, to bierzę butelkie i idę do apteki! Wy mnie mówcie o wygrać na loterii, psia krew.

– Już. Słuchaj pan. Księżyc znajduje się obecnie we trzeciej kwadrze, pan natomiast urodziłeś się pod znakiem Byka.

– Szpitalewicz, nie bądźcie idiotoman! Od księżyca ani od byka losu nie kupię. Który to numer i gdzie mieszka kolektor?

Profesor Ben Alima pomyślał chwilę, po czym wymienił numer i określił w przybliżeniu, gdzie los może się znajdować.

Klient, pan Dawid Binensztok, udał się na poszukiwanie losu.

Cały dzień odwiedzał kolektury północnej dzielnicy miasta, aż wreszcie znalazł pożądany numer w niepozornym sklepiuku w okolicy placu Muranowskiego.

Pośpiesznie zapłacił i uradowany pobiegł do domu. Czekały go dwa zawody. Na los nic nie padło, a poza tym dowiedział się, że fakir Ben Alima czyli pan Beniek Szpitalewicz jest wspólnikiem kolektora.

Gniew pana Dawida nie miał granic.

„Ja cię zaczaruję, cholera, za byka ci zrobię pod względem ryczyć ze strachu!” pomyślał wzburzony kupiec i udał się do mieszkania profesora. Przede wszystkim z przedpokoju wypędził klientów, a potem jak burza wpadł do gabinetu, stłukł kulę wróżbiarską, podarł na fakirze płaszcz usiany gwiazdami i ściągnął mu z głowy zawój.

Stawiony przed sąd grodzki i skazany na trzy dni aresztu, pan Dawid oświadczył:

– Nie chodzi mnie o tych czterdziestu złotych za los śmos, ale z powodu ja latałem cały dzień jak pies z wywieszonym ogonem. Za to dałem łobuza nauczkę.

Podobno od czasu tego zajścia profesor Ben Alima zreformował wróżenie loteryjne. Obecnie wskazuje szczegółowy numer, wręcza także kartkę z adresem kolektora i uwagą, że „żadne reklamacje przyjmowane nie będą”.

Pogromca dłużników

Pan Mojżesz Szczebiotka ma w okolicach placu Muranowskiego ustaloną ponurą sławę. Imię jego budzi wśród niesumiennych dłużników taką mniej więcej grozę jak nazwisko kata w świecie przestępczym.

– Szczebiotka się z panem zajmie, cholera pana zdechnie, jak pan nie zapłacisz.

To jest pogrożka, po której dłużnik natychmiast wyjmuje pieniądze.

Tak też było w dniu 3 kwietnia w domu przy ul. Pawiej. Dłużnik siedział właśnie przy kolacji, kiedy sławny człowiek wszedł z wekslem w rękę.

– Czy pan zapłacisz tego proteścika?

– Suma sumarum?

– Pięćset złotych plus koszt.

– Wariat, nieszczęśliwa ofiara kryzysu, pomieszaniec zmysłów, współczuję ci z panem! Nie pięćset złotych, ale natomiast grosza pan nie zobaczysz.

– Czy pan wiesz, z kim pan idziesz się dotyczyć? Ja jestem sam Szczebiotka.

– Ja się szczebiotam na takie Szczebiotki i daj mnie pan jeść kolację.

– Więc zatem dobrze! Za nędzarza pana zrobię, który dwa tygodnie z ośmiorgiem dzieci kawałek szczupaka nie widział. „Ociemniały kaleka prosi o wsparcie” pan u mnie będziesz! Na bruk pana idę wypuszczać.

– Czekaj pan troszkie. A pięćdziesiąt złotych też nie będzie?

– Cała suma i wszystkie koszty.

Dłużnik pan Zalc zmiażdżył wyraźnie. Poprosił pana Szczebiotkę o zaczekanie piętnaście minut w przyległym ciemnym pokoju.

Gdy wierzyciel wszedł, usłyszał za sobą tylko trzaśnięcie drzwi i chrobot zamka. Znajdował się w łazience.

Za chwilę z dziurki od klucza dał się słyszeć szept pana Zalca:

– Szczebiotka, pan paskudnie wpadłeś, niech moje wrogi mają takie szczęście. Pan zginiesz w tej cycadeli, za dziesięciu z Pawiaka pan u mnie będziesz. No, sześćdziesiąt złotych pana wystarczy?

Nieszczęsny więzień w odpowiedzi przypuścił huraganowy atak do drzwi, kopiąc w nie i waląc pękatym naczyniem z emaliowanej blachy. Na panu Zalcu nie robiło to wielkiego wrażenia, krzyknął tylko jeszcze:

– Ucho łobuz urwiesz! – i zamilkł.

Doprowadzony wreszcie do rozpaczyny pogromcy dłużników z całym rozmachem wyrzucił wymienionym wyżej naczyniem w małe okienko umieszczone pod sufitem.

Pocisk wybił szybę i zakreśliwszy wielki łuk, z hukiem legł na środku podwórza.

Oburzyło to do żywego dozorcę domu, który ujawszy po-gruchotane naczynie w dwa palce, niezwłocznie przyszedł na górę. On to usłyszał krzyki w łazience i uwolnił pana Szczebiotkę, który zaraz nazajutrz napisał obszerną skargę do sądu.

Wśród niesłychanego napięcia sali sądowej, zapełnionej sferami handlowymi, zapadł wyrok skazujący pana Zalca na 30 złotych grzywny.

Polowanie na kuropatwę

Są nazwiska sprawiające swym właścicielom wiele kłopotu z racji swego nieprzyzwoitego lub humorystycznego brzmienia. Ale żeby mieć tego rodzaju zmartwienie, nosząc tak spokojne miano jak Kuropatwa, to się nie zdarza codziennie.

A jednak bywa. Poucza o tym straszna przygoda, jaką przeżył pan Benjamin Kuropatwa, handlowiec z ul. Zamenhofs.

Pan Kuropatwa, jak przystało na dziedzica takiego nazwiska, pracuje w branży pokrewnej. Gęsie pierze i puch, to są artykuły, którym poświęcił wszystkie dni swej młodości oraz wiek męski.

Wiadomo jednak, jakie są dzisiaj czasy, nikt się tedy nie dziwi, że pan Kuropatwa, dotąd solidny handlowiec, przestał nagle płacić weksle. Nie rozumiał tego tylko jego dostawca, pan Mojżesz Bauman z Kałuszyna, i już w kilka dni po proteście przysłał przez znajomego furmana uszną depeszę następującej treści: „Bauman się pana kłania i jak pan nie wykupisz weksła, za prawdziwe kuropatwę pana zrobi.”

– Co znaczy za prawdziwe, takie co fruwa i śpiewa?

– Tak, fruwać w powietrzu u niego pan będziesz.

– Niemożliwość.

– Się zobaczy.

Wyjaśnienie tajemniczej pogroźki nastąpiło bardzo szybko.

Po tygodniu przyjechał do Warszawy pan Bauman i z wielką walizą w ręku udał się na ulicę Zamenhofs. Już od proga krzyknął:

– Pan nie jeździe Kuropatwa!

– A co ja jeźdem, co? Przypiórka?

– Myślę świnia! Ale ja pana nauczę być nazad kuropatwa. Już pan płąć, albo fruwać!

To mówiąc, kupiec z Kałuszyna otworzył walizę i wydobyl wielką flintę o dwóch potężnych, lśniących rurach, zmierzył do nieszczęśliwego dłużnika i wypalił.

Gdy dymy się rozwiały, w suficie widniała wielka dziura, a w rogach pokoju leżały dwa ciała: wierzyciela i Kuropatwy.

Jak się po przybyciu policjanta i pogotowia okazało, obaj zemdleli z przestachu.

Kupiec z Kałuszyna, stawiony następnie przed sąd grodzki, tłumaczył się, że chciał tylko zastraszyć pana Kuropatwę. Pożyczył w tym celu dubeltówkę od znajomego. Nie wiedząc, że jest nabita, pociągnął za cyngiel.

Sąd uznawszy tego rodzaju egzekucję należności za niedopuszczalną, skazał Baumana na sześć tygodni aresztu.

W obronie kantorowego

Pan Sylwester Zielonka jest kantorowym. Fach swój traktuje z całą powagą, zna swoją wartość i wymaga od klienteli szacunku zarówno dla siebie, jak i swych pupilek.

W potrzebie potrafi stanąć gorąco w ich obronie.

Zdarzyło się, że państwo Mojżeszostwo Biedermanowie z ul. Stawki, opuszczeni przez poprzednią kierowniczkę kuchni, zapragnęli nowej i drogą protekcji dotarli do pana Zielonki.

Po dwóch dniach w przedpokoju zjawił się idealny kantorowy z kandydatką, panną Olesią Pazio.

Zacząto przedwstępne pertraktacje. Po kilku stereotypowych pytaniach pani Biedermann, rzuciwszy okiem na pokaźne wymiary panny Olesi, zauważyła:

– Taka coś się mnie zdaje za gruba.

– Albo pani szanowna potrzebuje kuchtę, albo minogie. Jeżeli kuchta, to ta jest w sam raz. Obróć się panna Olesia. Rzeczywiście cienka nie jest, ale za to apropos higieny zdrowsza, od razu widać, że suchotów nie ma. Co pod względem konsumpcji czyli żarcia, także samo zawodu nie robi: opychać może, ale specjalnie dla niej gotować nie trzeba, starozakonne dania wtraja chętnie, żeby tylko nie było za dużo czostku.

– Chodzi mnie o pracować. Taka gruba dziewczyna, to ma ciężko się ruszyć.

– Ale co też pani szanowna głowę zawraca, robota pali jej się w rękach. Jeden ma tylko feler, że pyskata, ale o wiele państwo grzeczniej i pod ścierkę się nie nawijają, spokój będzie – orzekł kantorowy, nie lubiący ukrywać wad swych protegowanych.

– Jeszcze chciałabym się zapytać, co się dotyka narzeczonych. Do kuchni u mnie nie wolno przychodzić, z powodu bywają wypadki i kradzieże.

– Co pani szanowna powiedziała, kradzieże? i to przez okoliczność służby domowej z mojej poręki? Czy pani wie, kto ja jestem? Zielonka się nazywam!

Tu pan Sylwester zbladł jak papier, chwycił ustami powietrze i mówił dalej:

– W sam honor żeś mnie pani sztuknęła. Sercowy człowiek jeżdżem i napyskowałem się dzisiaj dosyć, ale ona pomści tę zniewagę. Olesia, rozpuszczaj mordę!

Wezwana w ten sposób panna Pazio wykazała w dłuższym przemówieniu, że wyrażona przez kantorowego opinia co do jej wymowy była tylko bladym cieniem rzeczywistości. Sywały się jak lawina określenia jędrne, dosadnie malujące całą pogardę dla niedoszłych chlebobawców. Pani B. zemdłała, a pan B. zatelefonował po policję.

Kiedy przybył posterunkowy Michałak, panna Olesia była akurat w połowie oracji. Policjant przerwał popis i wylegitymował wymowną dziewczynę.

W dwa miesiące później sędzia grodzki z podziwem odczytał krótki stenogram pamiętnej mowy i nagroził pannę Pazio trzema dniami aresztu.

Hipek z Nowolipek

Kto nie zna Kranca? Każdy zna. Każde dziecko wie, że Hipek Kranc to najelegantszy facet na całe Nowolipki, choć lekko zezuje lewym okiem.

Rzecz jasna, że tak wytworny gość musiał się cieszyć względami panny Heni, uroczej kelnerki zatrudnionej w luksusowej restauracji koszernej pod firmą „Cymes”.

Pan Kranc zaliczał się do najlepszych gości zakładu, toteż właściciel, pan Szyja Marmurek, bardzo niechętnym okiem patrzył na to, że piękna Henia czyni jednak niejaki awanse pew-

nemu szmondakowi, który zamawiał zwykle dzwonko śledzia, albo w ogóle mówił, że „czeka na jednego, co tu ma przyjść”.

Po krótkich staraniach restaurator pozyskał sobie dwóch mieszkańców „Cyrku”, panów Józefa Waśko i Mieczysława Przyborę, którzy za skromną opłatą mieli dać taki „manifest” nieproszonemu gościowi, żeby drogi do kawiarni zapomniał.

Umówionego wieczoru panowie Waśko i Przybora zasiedli w odświętnych szatach, z antypkami w rękach, przy bocznym stoliku, pociągając dla kurażu.

Nieszczęście chciało, że obaj amanci panny Heni przybyli do lokalu jednocześnie i natychmiast zaczęli uwodzić piękną kelnerkę.

Restaurator mrugnięciem oka wskazał swym najemnikom gościa, przeznaczonego na wycisk, i czekał dalszego rozwoju wypadków.

Jakież było jego zdziwienie i przerażenie, gdy pan Waśko podszedł po chwili do pana Kranca, chwycił go za krawat i zręcznym ruchem przesadził z krzesła na stolik.

Zaś pan Przybora, operując z wprawą antypką, zacinał go równomiernie po obydwu bokach.

Mimo krzyku napastowanego i protestów publiczności siepacze powlekli później nieszczęsnego Kranca po podłodze aż do drzwi, tu postawili go na nogi, otrzepali laskami z trocin i umiejętnym kopniakiem wyekspediowali na ulicę, po czym wrócili do bufetu i pan Waśko rzekł:

– Gotowe. Należy się sześć złotych, flacha i dwa ogórki. Katalika marnowanego, czyli jak to mówią śledzia w occie, możesz pan dołożyć za punktualność i precjozyjne robotę.

– Złamcie rękie i nogie, grosza pieniędzy nie dam! Nie tego zbiliście.

– Jakiem prawem nie tego? Przecie żeś pan gospodarz okiem zyza odstawiał, tośmy dali okład zyzowatemu.

Gospodarz opierał się energicznie, wobec czego cyrkowcy zmuszeni byli wyrzucić bufet, a tymczasem nadszedł pan Kranc z policjantem i obaj niefortunni mściciele cudzych krzywd zostali aresztowani.

W sądzie grodzkim pan Marmurek wytłumaczył się, że o niczym nie wie, a panowie Waśko i Przybora natychmiast po sprawie rozpoczęli odsiadki 14-dniowego aresztu.

Kłapa bezpieczeństwa

Potrzeba jest matką wynalazków, a poza tym kto dziś nie miewa w mieszkaniu wizyt wszelakiego rodzaju komorników i sekwestratorów?

Dwie te przyczyny sprawiły, że mieszkający obok siebie dwaj kupcy nalewkowscy, panowie Dawid Mucha i Henryk Grynszpan, dokonali epokowego wynalazku. Wykorzystawszy prawdziwy dar losu, że jedno mieszkanie od drugiego dzieliły tylko zamknięte stale i zamaskowane szafami drzwi, w chwilach krytycznych przywracali zawieszoną przed laty komunikację między lokalami.

Wyglądało to w ten sposób.

Dajmy na to, służąca pana Muchy stwierdza przez dziurkę od klucza, że dzwoni właśnie komornik lub poborca podatkowy. Następował alarm. Padały krótkie rozkazy. Zakonspirowane drzwi otwierały się szeroko i wszystkie cenniejsze ruchomości w błyskawicznym tempie przejeżdżały do lokalu pana Grynszpana.

Dzięki niesłychanemu treningowi i ofiarnej współpracy obydwu rodzin przeprowadzka trwała bardzo krótko i kiedy zniecierpliwiony sekwestrator wchodził wreszcie do lokalu, witały go puste prawie ściany i dłużnik, siedzący na połowym łóżku z owiazaną ręcznikiem głową, przepraszał, że „z powodu jest chory” nie mógł dość szybko otworzyć. Oczywiście nie było co zajmować i wysłannik pana ministra skarbu odchodził z pustymi rękami.

Oczywiście pan Grynszpan korzystał z identycznych praw w lokalu pana Muchy.

Sielankowe te stosunki trwałyby nie wiadomo jak długo, gdyby nie położył im kresu przekłety przypadek.